

GWIAZDY ROMANSU

A romantic couple is shown in a lush garden. The man, wearing a dark blue shirt and black trousers, is embracing the woman from behind. The woman, with blonde hair, is wearing a strapless, floor-length red dress and is looking up at him. They are standing on a stone path next to a stone wall. In the background, there are green bushes, trees, and a clear blue sky with some clouds.

Penny
JORDAN
TYLKO MY DWOJE

Penny
JORDAN

TYLKO MY DWOJE

Tłumaczyła
Zuzanna Pytlińska

Tytuł oryginału: *Passionate Possession*

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills&Boon Limited, 1992

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Krystyna Barchańska-Wardęcka

Korekta: Małgorzata Narewska, Krystyna Barchańska-Wardęcka

© 1992 by Penny Jordan

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i serii Harlequin Gwiazdy Romansu są zastrzeżone.

Wydawnictwo Arlekin – Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTExT[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8244-2

Gwiazdy Romansu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Oczywiście, że jeszcze go nie poznałam, ale z tego, co powiedział mi o nim Don, wynika, że może być cennym nabytkiem dla naszej społeczności. Jest bardzo zamożny, wpływowy, zakłada u nas dużą firmę, co na pewno będzie z pożytkiem dla miasta. Szkoda, że jest już z kimś związany. Nie w sensie formalnym, ślubu nie mają, ale mieszkają razem, a w każdym razie będą mieszkać, jak tylko ona wróci z Nowego Jorku. Podobno została tam oddelegowana służbowo, czy coś w tym rodzaju. Zorganizujemy jakieś małe przyjęcie... na osiem, może dziesięć osób, żeby go wprowadzić w tutejsze środowisko, i oczywiście chcielibyśmy, żebyś ty też przyszła. Lucy, czy ty mnie słuchasz?

Lucy zmusiła się do uśmiechu.

– Ależ tak, Verity, oczywiście. Mówisz o nowym kliencie Dona.

– Tak. Mówiłam o nim, ale nie wydaje mi się, żebyś słuchała zbyt uważnie – stwierdziła Verity.

– Mam wrażenie, że wciąż martwisz się tym głupim starcem. Powiedz szczerze, Lucy, dlaczego właściwie nie sprzedasz tej nieruchomości i...

– Nie mogę jej sprzedać, bo on jest stałym lokatorem – przerwała jej spokojnie Lucy – a poza tym nie mam pieniędzy, żeby przeprowadzić niezbędne prace remontowe.

– On musi to wiedzieć. Założę się, że dlatego wciąż narzeka – powiedziała Verity.

– Narzeka, bo ma do tego pełne prawo – wyjaśniła cierpliwie Lucy. – Dom jest w kiepskim stanie, ale nie mogę wziąć kredytu pod jego zastaw, a nie mam innych możliwości zdobycia pieniędzy. Chyba że sprzedam swoje mieszkanie.

– Ależ nie wolno ci tego zrobić – zaprotestowała gwałtownie Verity. – Gdzież, na Boga, się podziejesz?

Lucy potrząsnęła głową. Verity miała wprawdzie dobre serce, ale była dość egocentryczna i w dodatku trochę rozpieszczona. Nigdy w całym swoim życiu nie miała większych problemów finansowych.

Lucy wiedziała, że przyjaciółce trudno wczuć się w jej sytuację i gdyby nie fakt, że Don, mąż

Verity, był jej szefem, a na dodatek w czasach, gdy żyli jej dziadkowie, rodzina Lucy należała do najzamożniejszych i najbardziej prominentnych w okolicy, Verity prawdopodobnie nigdy by jej nie zaakceptowała towarzysko.

Teraz nie żyli już ani dziadkowie Lucy, ani jej rodzice, i wszystko, co pozostało z ich dawnego majątku rodzinnego, to mała, podupadająca wiejska posiadłość, którą Lucy odziedziczyła niedawno po jednej z dalekich kuzynek.

Wpadła w panikę, gdy notariusz kuzynki przekazał jej tę wiadomość. Oczywiście знаła ten dom, ale była przekonana, że kuzynka już dawno go sprzedała swemu długoletniemu najemcy. Wiadomość, że tego nie zrobiła i że teraz ona, Lucy, jest jego właścicielką i odpowiada za konieczny remont, zaszokowała ją i bardzo zmartwiła.

Z wahaniem zasugerowała, żeby może stary pan Barnes rozważył kupno domu, ale list, który od niego otrzymała, nie pozostawiał wątpliwości, że lokator nie ma najmniejszego zamiaru niczego kupować, a już na pewno nie kwapi się do wydawania pieniędzy na remont domu, skoro to ona powinna go przeprowadzić.

Lucy zasięgnęła, gdzie mogła, rady i doszła ostatecznie do wniosku, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Jest niekwestionowaną właścicielką posesji i koniec.

Gdyby była typem osoby, która łatwo daje upust łzom, od razu by się rozpląkała. Tak bardzo walczyła, żeby poukładać jakoś swoje życie po straszliwym wypadku, w którym zginęli jej rodzice. Miała wtedy siedemnaście lat i całą przyszłość przed sobą. Rodzice nie byli bogaci, ale po przeanalizowaniu swojej sytuacji uznali, że przy oszczędnym gospodarowaniu mogą sobie pozwolić na wysłanie jej na studia.

Z chwilą ich śmierci stało się to niemożliwe. Ojciec Lucy był kochającym mężem i ojcem, i uroczym człowiekiem, ale raczej niepraktycznym. Nie był nawet odpowiednio ubezpieczony. Dom, w którym mieszkali, miał obciążoną hipotekę i Lucy szybko sobie uzmysłowiła, że bardziej niż skromny spadek po rodzicach nie pozwoli jej w żadnej mierze na podjęcie studiów.

W pierwszej chwili była zbyt zaszokowana i przepelniona zbyt wielkim bólem po stracie rodziców, by móc myśleć o przyszłości... o swojej przyszłości. Ale, tak jak to zwykle bywa, nadszedł czas, gdy uświadomiła sobie, że nie może dłużej mieszkać u zaprzyjaźnionej rodziny, która ją przygarnęła, że ta żałośnie mała suma pieniędzy, która spoczywała na jej koncie w banku, kiedyś się wyczerpie i że najwyższa pora, żeby jakoś zaplanować swoje dalsze losy.

Zapisała się na kurs dla asystentek biurowych,

łączący umiejętności prowadzenia sekretariatu z obsługiwaniem komputera. Był to drogi kurs intensywny, ale wart zachodu. Dał jej solidne podstawy w obu dziedzinach. Dodatkowo kontynuowała naukę języków, których uczyła się w szkole, tak że wkrótce posługiwała się biegle niemieckim i francuskim.

Początkowo zamierzała rozejrzeć się za pracą w Londynie, ale choć nęciła ją dobra pensja, doszła do wniosku, że ze względu na bardzo wysokie koszty utrzymania w stolicy z trudem wiązałaby koniec z końcem. Zdecydowała się więc podjąć pracę młodszej asystentki w rodzinnej miejscowości i za radą swego notariusza przeznaczyła skromny spadek na kupno niewielkiego mieszkania w zaadaptowanym przez dewelopera dawnym dużym domu w stylu wiktoriańskim na obrzeżach miasta.

Była to, jak teraz oceniała, jedna z najlepszych rad, jakiej ktoś mógł jej udzielić. Biorąc pod uwagę aktualne ceny nieruchomości, teraz nie mogłaby sobie pozwolić na kupno nawet tak skromnego mieszkania.

Don dobrze jej płacił, mieszkała wygodnie, poruszała się małym samochodem, co roku jeździła na urlop za granicę, bawiła się w gronie przyjaciół i nawet od czasu do czasu mogła zaszaleć, kupując sobie jakiś drogi ciuch. Nie

miała jednak najmniejszych szans na zdobycie kilku tysięcy funtów, żeby wyremontować dom po kuzynce Emily.

Na jej oszczędności składały się niewielki fundusz emerytalny i kilkaset funtów na lokacie bankowej.

Lucy nie uważała siebie za osobę ubogą czy borykającą się z przeciwnościami losu. Bądź co bądź miała dobrą i przyjemną pracę, zatrudniał ją człowiek, którego lubiła i który nie ukrywał, że ceni jej profesjonalizm i umiejętności. Miała wypróbowanych przyjaciół, dość pieniędzy na utrzymanie i cieszyła się dobrym zdrowiem.

Miała też swoją dumę, coś, co odkryła w ciągu tych strasznych miesięcy po śmierci rodziców, kiedy nagle usłyszała, jak mówią o niej „to biedne dziecko”, i zorientowała się, że ludzie jej współczują, że litują się nad nią. I że chyba winią jej rodziców za to, iż nie pomyśleli o tym, żeby na wszelki wypadek lepiej ją zabezpieczyć.

Dochodziły ją nawet słuchy o wymienianych po cichu komentarzach, jak to się mogło stać, że rodzina tak niegdyś zamożna i prominentna w lokalnej społeczności mogła tak nisko upaść, tak jakby jej biedni rodzice byli odpowiedzialni za rozplyniecie się ich majątku, co, jak wiedziała, absolutnie nie było prawdą.

Chciała bronić rodziców, powiedzieć ich przy-

jaciółom, że ani ojciec, ani matka nie uważali pieniędzy za najważniejszą rzecz w życiu, ale mimo jej siedemnastu lat wszyscy wciąż traktowali ją jak dziecko.

Postanowiła więc znaleźć jakiś sposób, żeby stanąć na własnych nogach. Teraz własna niezależność stała się nieomal jej obsesją, z czego niekiedy troszkę podkpiwali jej przyjaciele, którzy nie musieli zmagać się z podobnymi problemami.

Być może była trochę za bardzo niezależna, za bardzo zdecydowana pokazać, że sobie sama poradzi, ale jej przyjaciele nigdy nie byli w takiej sytuacji jak ona, nigdy z dnia na dzień nie stwierdzili, że nie są już kochanym i otoczonym opieką dzieckiem troskliwych rodziców, lecz że zostali zupełnie sami na świecie i mogą polegać wyłącznie na sobie.

Gdyby dziś ktoś ją zapytał, czy już jest wolna od kompleksu sieroty, Lucy szybko by odpowiedziała, i wierzyła, że szczerze, iż w wieku dwudziestu sześciu lat całkowicie wyzwoliła się z traumy spowodowanej stratą rodziców i w rezultacie wyzbyła się swojego przewrażliwienia na tle emocjonalnym i materialnym. Jednak szok spowodowany niespodziewanymi problemami, które pojawiły się w związku z nieoczekiwanym i niechcianym spadkiem, zachwiał tą jej wiarą. Znowu była podatna na zranienia i znowu czuła lęk, do

tego stopnia, że złamała jedną ze swoich niepisanych reguł i zwierzyła się z kłopotów Donowi.

Jako księgowy ostrzegł ją przed problemami, które mogą wyniknąć w związku z opłakanym stanem budynku i jego lokatorem. Jako przyjaciel starał się ją pocieszyć najlepiej jak umiał i niestety, jako mąż Verity, opowiedział o wszystkim żonie.

Lucy właściwie się tego spodziewała. Zresztą Verity była dobrą przyjaciółką, tyle że kochała plotki, więc Lucy podejrzewała, że w tej chwili mało kto w mieście nie wie o jej problemach z posiadłością, za sprawą Verity oczywiście.

Kłopot z Verity polegał na tym, że miała za dużo wolnego czasu. Obaj jej synowie uczęszczali do prywatnej szkoły poza miejscem zamieszkania, więc ona zajmowała się głównie chodzeniem po sklepach i plotkowaniem. Miała przy tym tendencję do koloryzowania, więc teraz Lucy znieruchomiała, słysząc, jak Verity wykrzykuje z oburzeniem i współczuciem zarazem:

– To wszystko wina Erica Barnes’a... to on ci przysparza tych wszystkich kłopotów... od lat mieszka w tym domu. Powinien był poskarżyć się twojej kuzynce.

– Robił to. – Lucy zachowała spokój. – Ale Emily była już zupełnie zdziecinniała. Nawet nie wiem, czy czytała jego listy, nie mówiąc już

o zrozumieniu tego, co pisał. Wiesz, że ją odwiedzałam. Ludzie w domu opieki byli bardzo uprzejmi, ale prawie ich nie poznawała, a co dopiero mnie.

– Ale musi być przecież jakieś wyjście z tej sytuacji – przekonywała Verity.

– Owszem, jest. Sprzedaż mojego mieszkania – powiedziała ponuro Lucy.

Wstała, odstawiając filiżankę z delikatnej chińskiej porcelany.

Don wyszedł w sprawach służbowych, a ona wpadła z paroma dokumentami, które dla niego przetłumaczyła. Don miał kilku klientów inwestujących w nieruchomości we Francji i to jej zadaniem było tłumaczenie korespondencji nadchodzącej stamtąd w sprawie tychże posiadłości.

– Och, musisz już iść? – zmartwiła się Verity.
– Nie skończyłam ci jeszcze opowiadać o Niallu Cameronie. Nigdy do głowy by ci nie przyszło, że jest Skoczem – dodała.

– Szkotem – poprawiła ją odruchowo Lucy.
– Skocz to whisky.

– Skocz... Szkot... co to ma za znaczenie?
– Verity wzruszyła ramionami, lekko rozdrażniona. – W każdym razie – dodała szybko – jak już ci wspomniałam, jest niewiarygodnie bogaty. Ma potężny biznes komputerowy, a teraz otwiera fabrykę niedaleko stąd, w tym nowym parku

przemysłowym na obrzeżach Tetfield. Kupił też farmę Hawkinsa...

– Tak, Verity, wiem – przerwała jej Lucy.
– Nie zapominaj, że pracuję u Dona – dodała cierpko.

– Oczywiście, ale nie było cię, kiedy to się wydarzyło. Nawet go jeszcze nie poznałaś – zauważyła Verity.

– Masz rację – zgodziła się Lucy.

Nieszczerze też zależało jej na poznaniu Nialla Camerona, stwierdziła z niesmakiem. Z tego, co o nim wiedziała, był typem mężczyzny, jakiego najbardziej nie lubiła. Arogancki... pewny siebie, uważający się za kogoś bardzo ważnego, przechwalający się swoimi dokonaniem.

Była zadowolona, że nie było jej w mieście, kiedy się pojawił, choć wszystko wskazywało na to, że nie uda jej się dłużej unikać spotkania z nim, tym bardziej że Verity miała swoje plany i organizowała to nieszczęsne przyjęcie zapoznawcze.

– Chciałabym, żeby Don kupił nam posiadłość we Francji – powiedziała Verity, teraz z lekko nadąsaną miną. – Wszyscy nasi przyjaciele tak robią. Wyobraź sobie, że kupujesz tam cudowne rzeczy prawie za bezcen. Martindale'owie na przykład kupili bajkowy zamek... z piętnastoma sypialniami – ekscytowała się.

– I bez ani jednej łazienki oraz bez bieżącej wody – dodała cierpko Lucy.

Orientowała się w tych sprawach. Ostatni miesiąc spędziła we Francji, pracując dla Dona jako jego przedstawicielka i równocześnie tłumaczka tych klientów, którzy zawierali transakcje we Francji.

To było sześć nerwowych tygodni, pełnych wyzwań i nowych zadań. Lucy była zadowolona z tej pracy, choć czasami trudno było jej zrozumieć postawę klientów Dona. Wielu z nich zdawało się nie mieć pojęcia, z czym łączy się zakup posiadłości we Francji.

W wielu przypadkach nieruchomości były praktycznie w ruinie, gdy tymczasem nowi właściciele z entuzjazmem mówili o tym, jak to będą tu spędzać letnie wakacje, podejmując szczerze przyjaciół, którzy pospieszają z Anglii, żeby z zadośćcią podziwiać ich najnowsze nabytki.

To prawda, że byli i tacy klienci, którzy rzeczywiście zdawali sobie sprawę, w co się angażują, i byli gotowi poczynić wszelkie zmiany i udogodnienia konieczne, żeby mogli mieszkać w tych wiejskich posiadłościach. Ale większość...

Lucy westchnęła, przypomniawszy sobie wyraz twarzy pewnej kobiety, kiedy ta odkryła, że w jej domu z czternastego wieku nie ma ani urządzeń sanitarnych, ani prądu, a kiedy pada

deszcz, prowadząca do domu dróżka zmienia się w istne grzęzawisko, przez które jej nieskazitelna limuzyna prawdopodobnie nie byłaby w stanie przejechać.

– Muszę iść – powiedziała.

– Och... masz wieczorem randkę? – spytała Verity filuternie.

Lucy zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Tom zaprosił mnie do teatru – odrzekła.

– Tom Peters. Jest już rozwiedziony, prawda?

– Verity popatrzyła na nią zaintrygowana.

– Tak – przyznała spokojnie Lucy.

Przyjaźniła się z Tomem od dawna i wiedziała, że bardzo cierpi z powodu rozpadu swego małżeństwa. Lubila go i bardzo mu współczuła, ale byli tylko i wyłącznie przyjaciółmi.

Lucy była tak samo ostrożna w sprawach uczuciowych, jak we wszystkich innych.

Bała się zakochać, jak zarzucił jej kiedyś pewien chłopak, z którym się spotykała jako nastolatka. Być może miał rację. Niewykluczone, że strata rodziców, która nastąpiła właśnie wtedy, w jakiejś mierze przyczyniła się do tego, że bała się podjąć ryzyko emocjonalne wiążące się z obdarzeniem kogoś uczuciem. A może bała się własnej natury, wiedząc, że pod pozorami spokoju i opanowania kłębią się w niej silne emocje i namiętności.